№ 49.
WARSZAWA
7 Grudnia
1862.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ogłasza się przedpłata Czytelni Niedzielnej na rok 1863

W Warszawie: na poczcie, w kantorze redakcyj Czytelni przy ulicy Chmielnej nro 1527, w kantorach pism peryjodycznych, i w księgarniach Warszawskich:

rocznie	złp. 12
półrocznie	złp. 6
ćwierćrocznie	złp. 3
miesięcznie	złp. 1.

Na prowincyj i w Cesarstwie na poczcie, bez kopert, rocznie złp. 13 gr. 10. Za koperty dopłaca się złp. 6 gr. 20 na rok cały, lecz te pieniądze należy przesyłać pod adresem: „Redakcyj Czytelni Niedzielnej.

Do Cesarstwa przepisy pocztowe nie pozwalają przesyłać pism bez kopert. W jednej kopercie, lecz tylko w kopercie redakcyj Czytelni można otrzymywać po kilka egzemplarzy tegoż pisma bez dodatkowej opłaty. Kto odbiera inne pisma Warszawskie, ten w kopercie przy jednem z pism takowych może otrzymywać jeden egzemplarz Czytelni, równie bez dodatkowej opłaty za kopertę.

WSPOMNIENIE ZWYCIĘZTW POD CHOCIMEM.

II.

(patrz numer 48 Czytelni Niedzielnej.)

Drugie walne zwycięztwo pod miastem Chocimem nad Turkami zaszło roku 1673, to jest temu lat 189, za panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a zwycięztwo to tem było ważniejsze, im większe wówczas Polsce i całemu chrześcijaństwu groziło niebezpieczeństwo.

Turcy pogromieni przed pięćdziesięciu laty pod Chocimem, nie wyrzekli się napadów na naszą ojczyznę, a dumni ich sułtani wciąż marzyli o zawojowaniu Polski, a następnie i innych krajów chrześcijańskich w Europie. To też gdy wzrośli w nowe siły, a postrzegli, że przeciwnie Polska prowadząc wojny z innemi otaczającemi ją nieprzyjaciołmi, osłabła na siłach i w potędze, postanowili znowu ziemie nasze najechać. Jakoż nieoczekiwanie w miesiącu Lipcu 1672 r. Mahomet IV sułtan

na czele dwóch kroćstotysięcy wojska i trzystu dział przeszedł nagle rzekę Dniestr, obległ miasto Kamieniec Podolski, i takowe, jako niespodziewanie napadnięte, po miesięcznem oblężeniu zdobył. Tym sposobem Turcy zostawszy panami Kamieńca, warownego i głównego miasta tamtejszych prowincyj, łatwo i bardzo prędko zajęli całe Podole i Ukrainę. Następnie Mahomet IV zbliżył się pod mury Lwowa, prowadząc za sobą owe dzikie i nieprzeliczone chmary bisurmanów. Wielki przestrach ogarnął wszystkich. Nieprzyjaciel zajął już prawie połowę Królestwa, szerząc wszędzie zniszczenie: pożogi, rabunki i mordy.

Lwów w owym już czasie należał do miast największych w Polsce, i był jakoby obwarowanym. Posiadał dwa zamki: górny i dolny. Zamek górny w koło obwiedziony był murem, z trzech stron pojedynczym, z czwartej podwójnym. Od strony miasta część muru wypadła, była więc dziura, którą temczasowie palami zagrodzono, i wałem wzmocniono. Prowadziły do niego trzy bramy, na których znajdowały się izby i budki dla pomieszczenia załogi, a w czwartej części zamku była wysoka, murowana wieża. Zamek dolny w mieście znajdujący się, niemało mniejszych i większych zabudowań, oraz domów wielkich, tudzież bramę wjazdową drewnianą w obrębie swym mieszczący, nie przedstawiał żadnych środków do obrony. Zamek górny był o wiele obronniejszym, i mógłby był posłużyć do odparcia barbarzyńskiego najazdu, gdyby wcześniej mury ponaprawiano, i dostateczną załogę utrzymywano. Jednakże mieszkańcy z całem poświęceniem się wzięli się do obrony. Prócz ludności pierwiastkowie tam osiadłej, późniejsi przybylcy trzy osobne zajmowali dzielnice: wschodnią Rusini, południową Żydzi, północną Ormianie i sprzymierzeni Tatarzy, było też i Niemców już niemało. Wszyscy ci zajmowali się po większej części handlem i rzemiosłami. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela wszyscy porzuciwszy swe zajęcia, z czém kto mógł, pośpieszyli dla obrony miasta. Pozajmowali stosowne stanowiska, a żydzi dawnym zwyczajem do pomocy około armaty po wałach byli użyci. Nieprzyjaciel nieodważył się odrazu napadu na miasto czynić, ale trzymając takowe w oblężeniu, przez dni kilka nieustanny, a silny ogień z dział miotał. Jakkolwiek niezbywało walecznym obrońcom na męztwie i wytrwałości, jednak niepodobieństwo było utrzymać się dłużej, zwłaszcza przy tak słabych środkach obrony, i ciągłej obawie, że barbarzyńcy gotowi byli podpalić miasto. Więc nastąpiła ugoda. Turcy do Lwowa weszli, i aż do Października w nim gospodarzyli, 80,000 talarów z miasta złupili, i przez czas swego pobytu dwa przedmieścia Halickie i Krakowskie zniszczyli.

Tym sposobem Lwów od najazdu się uwolnił, ależ potrzeba było kraj cały od tych hord najezdniczych uwolnić. Więc Jan Sobieski ówczesny marszałek i hetman Wielki koronny waleczny i dzielny wojownik, co mógł naprędce zebrał wojska, swoich włościan uzbroił, i z garstką, zaledwie 6000 ludzi wynoszącą, ucierał się bezustanku z Turkami w Lubelskiem, wstrzymując przynajmniej tym sposobem dalszy ich pochód. Co więcej, uderzył nawet na obóz Mahometa, będący na granicy Podola, i znaczną klęskę Turkom zadał.

Gdy się to dzieje słaby król Michał Wiśniowiecki w ciągłej był obawie, co się to stanie. Niewierzył, aby można było pokonać taką nawałę Turków, więc chcąc ocalić resztę przynajmniej Polski od oręża Tureckiego, zawiera z sułtanem ugodę w mieście Buczaczu, przez którą Ukraina i Podole z Kamieńcem przy Turcyj pozostać miały, a Rzeczpospolita Polska przyrzekła płacić corocznie Turcyj 22,000 czerwonych złotych. Prócz bliskich doradzców króla, nikt zresztą nie wiedział, że taki obrót rzeczy wezmą. Naród cały oniemiał z boleści i zgrozy na wiadomość, że nietylko tracił rozległe i bogate prowincyje, ale o hańbo, płacić haracz tojest daninę niewiernym, daninę, której nikomu i nigdy przedtem nie płacono.

Taki to był nieszczęśliwy i smutny rok 1672 dla biednej naszej ojczyzny: utrata znacznej części kraju, zniszczenie przez niewiernych wielu prowincyj, a w dodatku ta ohydna ugoda Buczacka. Zdawało się, że już nie było ratunku, ani rady, aby odzyskać utracone prowincyje, i uwolnić się od płacenia uciążliwej daniny, gdyż Mahomet nie odebrawszy zaraz z powodu zupełnego wycieńczenia naszego skarbu przyrzeczonych pieniędzy, gotował się z nowym napadem. Powiadają, że w dzień i w nocy, na łowach, lub u stołu i podczas przeglądu wojska, sposobiąc

się do nowago najazdu, ciągle tylko powtarzał: Gdańsk, Gdańsk! Więc aż tam zamierzał posunąć swoje zabory, zamyślał zawojować całą Rzeczpospolitą, a następnie targnąć się na inne Chrześcijańskie państwa! Cóż więc wtedy pozostawało: ukorzyć się przed orężem niewiernych drogą, ojczyznę do grobu wtrącić, i wyrzec się świętej wiary przodków, albo też wystąpić do nowej, a tak nierównej walki. Możnaż było wahać się, co tu wybrać, czy pozostawać w takowem poniżeniu, niedbać o swą godność narodową i utracone prowincyje, albo też dla naprawy złego, jakie się stało, wystąpić do walki ciężkiej, do walki na śmierć. Walka była nieuchronną, bo Turcy ze swej strony o nowem wtargnięciu, i nowych zaborach zamyślali. Hetman Sobieski z rycerstwem i naród cały oswoić się nie mógł z myślą, aby płacić daninę, i ziem swych nieodebrać. Jakoż za wpływem Sobieskiego umowa Buczacka zerwaną została, i nowa wojna przeciw Turkom uchwalona.

Jakże się ucieszyli wszyscy z takowego postanowienia. Wszystko w narodzie, co się odznaczało uczuciem wyższem, wznioślejszem, komu drogą była ojczyzna, imie polaka i sława jego oręża, kto szczerze kochał utraconych braci i ziemie przez Turków zabrane, wszystko to nowem oddychało życiem, wszystko to szykowało się do strasznej walki.

Dzielny hetman i nieliczne rycerstwo pełne nadziei i zapału gorliwie wzięło się do przygotowań. Zebrano na prędce 30,000 wojska, i czterdzieści dział. Turcy dowiedziawszy się, iż wojska nasze przeciwko nim zbierają się, zebrali się co prędzej wszyscy do Chocimia, zebrali także i ogromną liczbę Tatarów na pomoc, a przedtem jeszcze gwałtem pod swoje muzułmańskie chorągwie naściągali i nałapali niemało ludności chrześcijańskiej z Multan i Wołoszy. I takim to sposobem ogromne zebrawszy siły, mocno obwarowali się w Chocimie. Turków i innych pod ich chorągwiami zostających, wybór wojsk muzułmańskich stanowiących, liczono przeszło 30,000, a Tatarów 100,000. Turcy zajmowali obwarowane miasto Chocim, i równie warowny pod miastem uszykowany obóz. Wojsko tureckie składało się z żołnierzy dawnych, w bojach i trudach zahartowanych. Wojska zaś nasze była to młodzież pierwszy raz w pole gorącą miłością ojczyzny wyprowadzona, więc niedoświadczone, a obok tego z pośpiechu, nie tak jakby należało zaopatrzone. Bądź co bądź Sobieski dziewiątego Listopada 1673 roku stanął już z wojskiem na owych naddniestrzańskich równinach, tuż pod murami Chocimia.

Dnia 10 Listopada równo ze świtem Sobieski uszykował swe wojsko do boju. Jabłonowski wojewoda ruski opierając się o Dniestr, dowodził prawem skrzydłem, mając przed sobą zamek Chocimski. Litwini zajmowali lewe skrzydło, środek zajął sam hetman Sobieski, oraz książe Dymitr Wiśniowiecki i Czarniecki wielki chorąży. Piechota tedy stała pod samemi okopami, konnica zaś nieco dalej na otwartszem była miejscu. Tworzyło to jakoby półkole, łuk wielki otaczający miasto warowne, i obóz turecki. Króla samego Michała Korybuta Wiśniowicckiego nie było, bo śpiesząc właśnie do obozu, rozchorował się we Lwowie.

Na przodzie półkola wojsk naszych stało czterdzieści dział, któremi jenerał Kątski bój rozpoczął, i pod silnym ogniem muzułmanów burzył ich ostrokoły, osłaniające okopy Tureckie, aby tym sposobem torować i ułatwić rycerstwu naszemu przystęp i drogę do obozu nieprzyjacielskiego. Tak zeszedł dzień cały. Nieoczekiwanie w nocy, owe oddziały chrześcijańskie z Wołoszy i Multan, aby nie przelewać krwi chrześcijańskiej, i nie być dłużej ślepemi narzędziami dzikiego najazdu opuściły niewiernych, a przeszły do naszego obozu. Sobieski trzymał swe hufce przez całą noc pod bronią, jakkolwiek całą noc sypał ogromny śnieg kłębami, a niesłychanie mroźny wiatr, i straszna zawierucha na chwilę nieustawały. Skrzepłe i obsypane śniegiem szeregi polskie doczekały się ranka.

O świcie, pobożny Sobieski wysłuchał mszy świętej, był to dzień Śgo Marcina. Poczém dał hasło i rozkaz na bitwę, a przebiegając szeregi, cały osypany śniegiem i szronem, z potężną szablą w ręku, donośnym głosem zawołał:

„Naprzód, na okopy! stanowcza wybiła godzina. Tu przed wami nieprzyjaciel, ten wróg świętej wiary, najezdzca ukochanej ojczyzny naszej, napastnik świata całego. Tu są wszystkie jego siły, i te bogate łupy, któremi prowincyje nasze ograbił. Za nim upłynie godzi-

na musimy go dostać i pokonać! Dla oswobodzenia Rzeczypospolitej od tej haniebnej daniny i hołdownictwa, w obronie wiary i całego chrześcijaństwa niepotrzeba więcej. Pamiętajcie, iż walczymy za ojczyznę i wiarę! Chrystus Pan z nami! Dzieci! naprzód, na okopy!“

To mówiąc zsiadł z konia, i sam pierwszy poprowadził piechotę naprzód, wprost na okopy. W mgnieniu oka straszna rozpoczęła się walka. Rycerze nasi jak jeden rzucili się na nieprzyjaciela. Przed wałami okopów były ogromnie głębokie rowy, a przejścia przez nie bronili Turcy, i dzielnie zrazu także dotrzymywali miejsca. Z obu stron mnóstwo padało zabitych i ciężko rannych. Turcy zaczęli ustępować, nasi zdobyli rowy, takowe przeszli, i szybko zbliżyli się pod same okopy i skaliste wzgórza. Zaledwie Sobieski miał czas dosiąść znowu konia, a już chorągwie polskie i znaki krzyża powiewały na zdobytych wzgórzach obozu tureckiego. Petrykowski, Korycki i Denhof pierwsi dostali się na wały, i zatknęli tam chorągwie. Na ten widok, hufce polskie wydały okrzyk radości, a Turcy przerażeni tym nagłym napadem, coraz słabszy dawali odpór. Aż w tem gwardyja sułtańska, którą oni nazywają Janczarami, to jest sam wybór żołnierzy tureckich rzucili się, i razić mocno zaczęli pojedynczych ludzi z rycerstwa naszego, co się wdarli w środek warowni. Widzi to Sobieski, więc znowu prowadzi piechotę, toruje inną drogę przez skały, aż na wierzchołek gór, i tym sposobem ułatwia wstęp hufcom Leszczyńskiego. W te tropy za niemi poskoczyła natychmiast jazda Jabłonowskiego, a hussarze i pancerni z proporcami w ręku, wspinali się konno na spadziste gór wierzchołki. Wjechał tam wojewoda Jabłonowski na czele piętnastu chorągwi, dzielnej naszej jazdy. Po dawnemu, jak już wszyscy stanęli w szeregi, jak pospuszczali kopije na dół, na wpół ucha końskiego, silnie one w ręku i pod pachą trzymając, a jak skoczą dopiero z kopyta, i rzucą się na oślep na te niezwyciężone dotąd, jak ściana stojące szeregi janczarów, to aż strach pomyśleć, co się tam działo. Zdawało się, iż te skały i góry zapadły się, tak okropnie dudniało i szumiało na okół. To znowu ten chrzęst skrzydeł orlich, albo sępich u ramion hussarzy pozawieszanych, ten powiew długich chorągiewek, stuk drzewcami tychże sprawiany, wszystko to jakoby nadzwyczajna burza z piorunami i grzmotami wydawało się. Janczarowie zasłaniali się ostrokołami, lecz gdy te naszych nie wstrzymywały, gdy coraz więcej ich padało, a Hussejm naczelny wódz turecki pierwszy zemknął, a Kijaja dowódzca janczarów, i Janusz Basza na miejscu zabici, Turcy z niewypowiedzianym strachem, jak ostatni tchórz uciekali. Nasi nuż za niemi, nuż siec, rąbać i zabijać. Nadbiegł też ze swemi Pac hetman litewski, i z innej znowu strony rzucił się na niewiernych, roznosząc śmierć i coraz większą trwogę. Trudno było opowiedzieć, a teraz tém trudniej opisać, co się tam działo. Z tych dumnych, i samowładnych zwycięzców, nikczemni tchórze. Rzucając broń, działa, żywność, i wszystko co nagrabili, z resztką niedobitków ucieczką chcieli się ratować, przez most na Dniestrze ku Kamieńcowi. Doświadczony i przezorny Sobieski wszystko to naprzód przewidział, i dobrze obmyślił. Kiedy Turcy biegli w najlepsze ku mostowi, zabijając się nawzajem, Radziwił ukazał się nagle przed nimi, opanował most i górującą nad nim bramę, a tym sposobem przeciął im drogę odwrotu. Wtedy uciekający rzucili się na Dniestr pokryty krą, gdzie ich na środku prawie dopędzali hussarze Miączyńskiego, i siekli niemiłosiernie; wszystko więc, co niezdołało uciec, w pień wycięto. Wszystko to trwało nie dłużej, jak trzy godziny, a wszystkie pobojowiska zasłane zostały poległemi, między któremi, nieprzyjacioł naliczono przeszło 40,000, a i naszych nie mało zginęło.—W namiocie, na papierze i piórem Hussejma hetman Sobieski napisał do Warszawy na ręce podkanclerzego koronnego z doniesieniem o tak swietnem zwycięztwie. Zdobytą zieloną chorągiew, którą Hussejm dostał od sułtana mahometa, przesłał nasz hetman Ojcu Śmu, i chorągiew ta dotąd zdobi sklepienie kościoła Śgo Piotra w Rzymie.

Tak więc z owego ogromnego najezdniczego wojska, które trwogą przejmowało nietylko Polskę, ale sąsiednie Węgry, Niemcy i wszystkie chrześcijańskie państwa, pozostały tylko stosy zabitych, pozostał zamek Chocimski i kupy zwalisk. Ksiądz Przeborowski spowiednik Sobieskiego wzniosłszy ołtarz wśród pobojowiska, dał błogosławieństwo rycerstwu

chrześcijańskiemu, a żołnierze nasi ze łzami radości i wdzięczności zaśpiewali z kapłanem hymn dziękczynny Bogu za to, prawie cudowne, a tak wielkie zwycięztwo. Europa usłyszawszy o tych cudach męztwa rycerstwa polskiego, składała Bogu dzięki we wszystkich świątyniach. Radość i uwielbienie rozeszło się po całém chrześcijaństwie, które w zwycięztwie tém uważało ocalenie własne. Tylko nieszczęśliwy król Michał nie mógł już podzielić radości rodaków z odniesionego zwycięztwa, bo właśnie dniem wprzód, to jest 10 Listopada 1673 roku Bogu ducha oddał, we Lwowie.—

—

Te dwa zwycięztwa pod Chocimem nie przyszły tak lekko rycerstwu naszemu. Trzeba było na to dzielnych i doświadczonych wodzów, którzy potrafili wszystko dobrze przygotować, i waleczne rycerstwo poprowadzić; trzeba było nareszcie tyle krwi przelać, tyle najpiękniejszej młodzieży stracić. I nic w tem dziwnego lub przerażającego nie ma, i być nie może, bo bez należytego przygotowania, łatwo i prędko nikt nic ważnego dokonać nie potrafi. Tymczasem walki nasze przeciw Turkom wielkie miały znaczenie. Albowiem były to walki oświaty i nauki chrześcijańskiej z ciemnotą i niewiernymi. Polska gromiąc Turków, uskramniała wroga całego chrześcijaństwa. Polska broniąc własnych ziem i swobód, stawała zarazem za przedmurze dla reszty Europy. Polska zatem wojując ciągle, i opędzając się od napastników na wszystkie strony, nie była w możności zająć się wewnętrznemi urządzeniami kraju, tak, jakby chciała, a jak to czynić mogły i czyniły inne państwa na podobne najazdy nienarażane.

Posłannictwa dziejowe narodów nieustają, lecz tylko role ich i postać zmieniać się mogą. Po odparciu oręża orężem, bratnia miłość, sąsiedzka zgoda pierwej wojujące narody zjednać, i dalej ku celom przez Opatrzność zakreślonym, drogą postępu i oświaty wspólnie prowadzić one powinna.

O podróży w Łęczyckie.

IV.

(Patrz numera Czytelni Niedzielnej 47 i 48.)

Posłuchajcież więc wy bracia, co nad wszystko ważycie bogactwo, kiedy już wam się tak chce owego bogactwa, jaką drogą się idzie do niego. Powiem wam szczerą prawdę o Wojciechu Zuchowiczu, co na roli i tylko na roli został z chłopa panem. Bo jakby Wojciech wygrał pieniądze na loteryj, albo skarby odkopał, nie sztuka by była, żeby wyrósł na pana, ale z pracy i oszczędności, ze zgodności i pobożności dostało mu się z łaski Bożej to, czego inni chcą dokazać chciwością, a nie potrafią. Wieści o Zuchowiczu dochodziły mnie nieraz, żem ciekawy był poznać go i na gruncie obaczyć jego gospodarstwo. To też kiedym zajrzał do rodzeństwa, i rozgadaliśmy się o nim z Kazimierzem Maciejowskim, to ten powiedział mi, że mnie zapozna z owym Zuchowiczem, i zawiózł mnie do niego, do sąsiedniéj wsi Jarachówka. Kiedyś ta wieś jeszcze za mojéj pamięci była wsią polską zwyczajną, teraz zamieniła się ona na kilka oddzielnych części, mających każda swojego osobnego właściciela, a największą część stanowi dawny folwark. Wieś przez rodzielenie takie straciła na piękności, bo kilka zabudowań co zdala od siebie stoją na polu, wyglądują trochę żałośnie, jakby kilkoro ludzi, co przez obawę unikają zbliżyć się do siebie. Ale nie o to rzecz idzie, nie o to, że podobne odosabnianie w przyszłych pokoleniach może zatrzeć nasze towarzyskie usposobienie, ale o gospodarstwie Wojciecha Zuchowicza, i o nim samym. Zajechaliśmy naprzód na jego podwórze, ale kiedy dziewczyna powiedziała nam, że Wojciech jest na folwarku, zawróciliśmy konie i pojechaliśmy na folwark. Ujrzeliśmy tam Wojciecha przy budowie nowéj stodoły zajętego robotą. Człowiek średniego wzrostu, krzepki, rumiany i z siwym włosem. Jak się dowiedział, żeśmy w gościnę do niego przyjechali, zaprosił nas do swego domu. Piękne zabudowania w czworobok, czyste podwórze, schludny domek, skrzętna czeladka, gościnna gospodyni bardzo dobre robią wrażenie i szczerością się uśmiechają: i dla tego przyznałem się gospodarzowi, że mnie ciekawość sprowadziła, żebym się dowiedział, jak on przyszedł do swojej majętności. Szanowny Wojciech Zuchowicz uradował się moją otwartością, złożył ręce na piersi, i westchnąwszy powiedział:

— Bóg mi dał co mam.

— Ale ja ciekawy jestem, przemówiłem,

dowiedzieć się, jakeście doszli do tego, czy trafunkiem, czy zwyczajną koleją, to opowiedźcie mi wszystko o sobie, aż od urodzenia, żebym dobrze pojął wasze zasługi i skrzętność.

— A to tak, wyrzekł Zuchowicz, kiedy chcecie dowiedzieć się o wszystkiem, to wam opowiem: Mój ojciec Józef i matka Zofija, przyszli tu w Łęczyckie do wsi Siedlec, z Kujaw, po wojnie Kościuszkowskiej, i osiedli na gospodarstwie pańszczyznianem. Byli to ludzie bogobojni i troskliwi o swoje dzieci, a mieli ich ze mną pięcioro, trzech synów i dwie córki. Jeden z nich Maciej mój brat, siedzi teraz pod Łęczycą w Topoli, i ma gospodarstwo czynszowe, co warte ze trzydzieści pięć tysięcy. Ja urodziłem się tam w Siedlcach 24 Marca 1805 r. przed wojną cesarza Napoleona I z Prusakami. Dziesięć lat siedziałem w domu, a jakem podrastał pilnowałem chałupy, kiedy starsi wychodzili do roboty, a czasem pasałem gęsi i dopatrywałem w domu i w polu dobytku. Dopiero jak mi wyszło lat jedenaście ojciec oddał mnie do nauki, do organisty Błażeja Marszewskiego, i płacił za mnie po pięćdziesiąt złotych.

— Rocznie po pięćdziesiąt złotych? zapytałem.

— Nie, nie rocznie, ale cwierćrocznie płacił ojciec pięćdziesiąt złotych za mnie, i za drugie dzieci. Uczyłem się w tej szkole lat ze sześć, a jakem wyszedł ze szkoły byłem już sporym parobczakiem, i wziął mnie ojciec już do dobrej roboty, i wydzielił mi za to trzy składy oziminy i osiem składów jarzyny. Z tego uciułałem sobie ze sześćset złotych, i ożeniłem się oto w r. 1824 z tą moją Małgośką Gajewiczówną, coście widzieli, córką gospodarską też ze Siedlec. Po ożenieniu, siedziałem z Małgośką u ojców na dawnej umowie przez kilka lat, i mieściliśmy się razem z nimi w jednej izbie. W roku 1832 wszedłem na własne gospodarstwo pańszczyzniane, i dobrze mi się na niem zaczęło wieść. Gruntu miałem sporo, dobre pół włóki, a może i więcej. Starałem się, żebym był skrzętny, baczny, i rzetelny co do dźbła, i to mi dało dobre zachowanie u gromady, a dziedzic pan Borucki, i ksiądz proboszcz mieli na mnie względność. To też wybrali mnie na sołtysa, a w kościele na cechmistrza. Pan Borucki i ksiądz proboszcz nazywali mnie kochanym Wojtusiem, i czy przy kupnie, czy przy sprzedaży na mnie się spuszczali, jak na własny wzrok i słuch. Nawet i wójt zostawiał mi pieczęcie, i zastępowałem go nieraz w nagłych rzeczach, i takem się sprawiał, że zawsze o mnie mawiał, iż mam porządnie w głowie.

— To wiecie, przemówiłem, że wam ta szkoła u organisty tak dopomogła na świecie. Nie darmo ojciec płacił te pięćdziesiąt złotych na cwierćrocze.

— Prawdę mówicie, przerwał Zuchowicz, że nauka mi pomogła i do poznania Boga, i do poznania ludzi, a troskliwość rodzicielska w domu nauczyła mnie bojaźni pańskiej, a szanowania każdego.

— Domówcie reszty, powiedziałem, bo jeszcze nie widzę, jakeście doszli do swojego dziedzictwa.

— Było dalej tak, przemówił Zuchowicz, sołtysem byłem lat dziewięć, a cechmistrzem lat dwanaście, i w tym czasie ostatnie sześć lat przy swojem gospodarstwie, dzierżawiłem jeszcze probostwo o trzech włókach. A jakem się wzmógł, kiedy mi Bóg błogosławił na urodzaju i dobytku, wziąłem sobie w roku 1844 w dzierżawę na lat dwanaście wieś Piekacie w tej samej parafij Siedleckiej. Po dziewięciu latach kupiłem dopiero tu w Jarochówku na własność cztery włóki gruntu za siedmnaście tysięcy. Wziąłem się do wystawienia budynków, jakie widzicie, a że jeszcze miałem w Piekaciu dzierżawy trzy lata, to na ten czas osadziłem tu jednego zięcia, a w r. 1856 osiadłem tu już na stałe. Po kilku znowu latach, bo w r. 1861 wydzierżawiłem folwark tutejszy do spółki ze szlachcicem Podczaskim, i do dziś dnia kończy się na tem.

— A ile też macie dobytku? zapytałem.

— Mam, rzekł gospodarz, koni ośm, wołów dwanaście, krów szesnaście, owiec ośmdziesiąt, trzody sztuk szesnaście, i jak przy gospodarstwie: gęsi, kaczki, kury i gołębie w gołębniku, i pszczoły w ulach, i zapas słomy i zboża, wszystko z łaski Boga.

— Powiedźcie mi też, co o waszych dzieciach, zapytałem znowu.

— Mam sześć córek, i dwóch synów, odrzekł Zuchowicz, a do tego ośmnastu wnuków. Z dzieci tylko dwoje najmłodszych mam przy sobie: Mikołaja i Julisię. Starszemu synowi Mateuszowi dałem cztery tysiące złotych, i ty-

leż w dobytku, i w ruchomościach. Już on teraz trzyma w dzierżawie wioskę Wygorzele, a pięć córek wydałem za mąż, i każdej dałem po parę tysięcy posagu, a jednej sześć tysięcy, i wszystkie siedzą na gospodarstwach.

— Pięknie wyposażyliście wasze dzieciny, zawołałem, bodaj to mieć roztropnych rodziców, bo i oni się cieszą, i dzieciom nie ciężko żyć na świecie, aby tylko umiały zażywać zapracowanego grosza i być pociechą dla ludzi.

— Słusznie mówicie, ozwał się Zuchowicz, kładłem ciągle w głowę dzieciom, aby Boga się bały, ludzi szanowały; ażeby zaś swoje powinności lepiej poznały, kazałem je uczyć czytać i pisać. Karność przed Bogiem, a przed ludźmi godność, szanowanie siebie samego, i pilnowanie siebie, żeby w czem nie wykroczyć, nie zgrzeszyć, nie podać się na pośmiewisko, to grunt szczęścia człowieka, i spokojnego życia.

— Oj prawda, prawda, zawołałem, nie bogactwo jest szczęściem człowieka, a poczciwe życie, czyste sumienie. Dziś wy sami macie tysiące, a pewny jestem, żeście tylko oszczędnością, pracą, trzeźwością i zgodą do majątku przyszli.

— Nie inaczej tylko że tak, potwierdził gospodarz, mam pod sześćdziesiat lat, a ciągła praca mnie na siłach ukrzepiła. W oszczędności się kochałem zawsze, i dziś nawet jak widzicie gruba na mnie koszula. W trzeźwości byłem taki, że prawie do czterdziestu lat nie miałem w gębie wódki, a co do zgody z ludźmi, to trzymałem się tego, żeby się nigdy z nikim nieprawować, bo to święta prawda, co mówi przysłowie, że lepsza słomiana zgoda, jak złoty wyrok.

Po wywiedzeniu się o kolejach życia Wojciecha Zuchowicza, i po opatrzeniu jego wzorowych budynków i dobytku, puściliśmy się z powrotem z sąsiadem do domu. A kiedym siostrze opowiedział słyszane, ona rzekła serdecznie:

— To też dziękuje on Bogu za wszystko, i ręce składa przed obrazami. Byłam tam i widziałam, jak dzieci nauczone były pacierza.

To macie przykład, jak się dochodzi do złota. Ale to nie jeden przykład taki, bo podobną rzecz napisałbym wam i o innych znajomych mi ludziach, dajmy na to o Sawczence Napoleońskim żołnierzu ze wsi Sawiniec na Ukrainie, albo o owym chłopie, a teraz panie miljonowym, o Jachnience, co fabryki wielkie posiadał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Książki nowe.

(Patrz Numer 48 Czytelni Niedzielnej.)

—

W piśmie naszem z r. 1861, w numerach: 10, 13, 14 i 29 obszerniejsze zamieściliśmy rozbiory książek:

— „*Upominek dla dziewcząt wiejskich*,“ przez byłe Towarzystwo rolnicze napisany, nakładem tegoż drukowany, a teraz przez księgarza Gebetnera w Warszawie wydawany i sprzedający się po *groszy dziesięć*,

— „*Nauki wiejskie*“ tyczące się gminy, życia i stósunków wieśniaka, w Poznaniu, przez Ewarysta Estkowskiego wydane, w księgarniach warszawskich po *złp. 6 gr. 20* sprzedające się,—

— „*Zjawiska napowietrzne*,“ w Krakowie, staraniem wydziału rozpowszechnienia oświaty Towarzystwa naukowego Krakowskiego z uniwersytetem Jagielońskim złączonego wydane, w księgarniach warszawskich po *groszy ośmnaście* sprzedające się,—

— „*Nauka o świecie*,“ ułożona przez A. Kiszewskiego nauczyciela w Paradyżu, w Lesznie, w Wielkiem księstwie Poznańskiem wydana, u księgarzy w Warszawie po *złp. dwa* sprzedająca się.

Są to książki bardzo dobre i pożyteczne. „*Nauki wiejskie*,“ „*zjawiska napowietrzne*,“ i „*nauka o świecie*“ nie do czytania dla zabawy, ale rzeczywiście do nauki służyć mają i powinny. Bardzo wiele z nich nauczyć można, dzieci starsze nieco, umiejące już czytać dobrze, ciekawsze, do słuchania i uważania przyuczone, a nawet ludzi dojrzałych na czytanie i słuchanie zbierających się. Ale potrzeba iżby nauczyciel sam pierwej z uwagą książkę całą przeczytał, dobrze ją zrozumiał, potem dopiero po kawałku opowiadał, lub czytał i objaśniał. Następnie słuchający, jeżeli nie wszyscy po kolei, to przynajmniej niektórzy z nich powinni toż samo na pamięć powtarzać i opowiadać, a to dla tego, że tym sposobem najłatwiej i najskuteczniej nauczyć czego można, a zarazem, że nauczyciel ma możność przekonać się, czy wszyscy dobrze rozumieją i pamiętają to, co im czytane lub opowiadane było.

Nauki wiejskie mieć powinien każdy nauczyciel wiejski, lub każdy kto na wsi naucza. Podzielone na dziewiętnaście rozdziałów, czyli nauk oddzielnych obejmują wszystko to, co rolnikowi, wieśniakowi wiedzieć potrzeba o rolnictwie, pracy i przemyśle; o życiu i obowiązkach rodziny; o potrzebach, prawach, obowiązkach i urządzeniu gminy. W szczególności zaś nauki te na pytania, odpowiedzi i obja-

śnienia podzielone, pięknie, gruntownie i jasno wykładają co to jest wieś, jaką była dawniej, a jaką jest teraz, z jej mieszkańcami i ich zatrudnieniami; co to jest rodzina wiejska, a co zagroda wiejska, i jakie względem nich obowiązki, jaką jest zacność stanu rolniczego, i jak ją szanować należy; co to jest rola, jak dziką, nieurodzajną ziemię zamienić w urodzajną rolę, jak poznaje się grunta niepewne; o uprawie roli; o mierzwie; o zbożu; o łąkach; o ogrodach; warzywach, kartoflach i ich utrzymywaniu; o koniczynie i lucernie; o szkółkach drzew owocowych i sadach; o uprawie chmielu, morwy, wina i drzew leśnych.

Książka „*Zjawiska napowietrzne*,“ jest także bardzo potrzebną, pożyteczną i tak tanią. Równie pięknie, jasno i gruntownie objaśnia i naucza, z jakich przyczyn powstają, i jakie skutki sprawiają: wiatr, rosy, szron, mgły, chmury, deszcze, śnieg, grad, grzmoty, błyskawice, pioruny, tęcze. Wszystko tam jest tak dobrze opisane i wyłożone, że każdy nauczyciel wiejski, aby tylko z uwagą przeczytał, dobrze zrozumie, tém samem uczącym się dzieciom lub starszym dobrze to samo przeczyta, objaśni, raz i drugi powtórzy, a dzieci i starsi zrozumieją to także, nauczą się tego, i przecie będą wiedzieć o tem, o czem każdy wiedzieć powinien. Bo jakże nie poznać tego, co wszędzie i codziennie spotykamy, co na nasze zdrowie, na wszystkie nasze sprawy i działania tak przeważny wpływ wywiera.

Bardzo dobrą także i pożyteczną jest „*nauka o świecie*“ Wykłada jasno i zrozumiale, jak należy znać i pojmować Boga, człowieka i świat cały; i jakie są powinności każdego względem Boga, siebie i bliźnich. Jasno i zrozumiale podaje wiadomości z nauk przyrodzonych. W czterech głównych działach: człowiek; izba; dom; i siedlisko,— wykłada i objaśnia rozmaite zjawiska w przyrodzie. Obok tego przy każdym oddziale znajdują się moralne powiastki, potrzebne przepisy i rady, piękne opowiadania i wiersze. —

„*Upominek dla dziewcząt wiejskich*,“ i „*Elementarz dla chłopców wiejskich*,“ dawniej przez byłe Towarzystwo rolnicze, a teraz przez księgarza Gebetnera wydawane, w tylu tysiącach po całym kraju rozeszły się, i rozchodzą się ciągle, więc też wszystkim ze swej użyteczności i taniości powinny być znane. Niedawno w 45 numerze pisma naszego, obszerniejsza była wiadomość o „*Elementarzu dla dzieci polskich*,“ nakładem Józefa Ungra drukarza wydanym, we wszystkich księgarniach warszawskich po *groszy dziesięć* sprzedającym się.

— Do nauki czytania, katechizmu i innych początkowych wiadomości, prócz trzech książek na końcu wymienionych, jest jeszcze bardzo wiele innych abecadlników, pod różnemi tytułami teraz i dawniej wydanych. Powiemy o niektórych.

„*Nauka czytania ułatwiona, nowy elementarz dla szkółek i ochron polskich przez L. M (ieroszewską)*, w Warszawie, rok 1862, skład główny w księgarni polskiej A. Dzwonkowskiego przy ulicy Miodowej nro 982, *sprzedaje się po złotemu.*—Przy układzie tego abecadlnika, największą zwracano uwagę na to, ażeby dzieci poczynające się uczyć trudnościami odstręczane nie były, aby umysł dzieci nie potrzebował czynić żadnych wysileń, i nie był przymuszany do wymawiania i wyczytywania odrazu dźwięków i myśli do wymawiania i pojęcia najtrudniejszych. I przyznać potrzeba, iż zadaniu temu autorka zacna w zupełności odpowiedziała. Same abecadło, samogłoski, spółgłoski, zgłoski, wyrazy całe, następnie zdania, przykłady i cwiczenia tak są ułożone, iż stopniowo od najłatwiejszych i łatwych postępuje się do trudniejszych i trudnych. W drugiej połowie książki są *czytania*. W tych jasno, przystępnie i bardzo trafnie, prozą i wierszem wyłożone mamy początkowe wiadomości, nauczające dzieci, jakie są powinności człowieka względem Boga, bliźnich i siebie samego,— czem się człowiek różni od innych otaczających go stworzeń, i t. p. Czytań takich prozą i wierszem jest przeszło trzydzieści; potem dwadzieścia dwie powiastek małych, moralnych i dobrze ułożonych; znowu bajeczki wierszem; następnie zdania z Pisma świętego, pacierz, krótki katechizm; a na końcu tabliczka mnożenia.

Cała książka ma sto sześćdziesiąt ośm (168) stronic druku wyraźnego, — dwa obrazki Pana Jezusa i Panny Maryj, jest oprawna.

Od kilku uzdolnionych i doświadczonych ochroniarek, słyszeliśmy zdanie, że książka ta dla nauki dziewcząt jest lepszą, aniżeli inne dotąd wydane abecadlniki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Różności.

— *Oświata*, *wstrzemięźliwość i oszczędność* stały się przedmiotem szczególniejszych i wyłącznych usiłowań duchowieństwa, obywateli, i wszystkich mieszkańców Piotrkowskiego powiatu, jak czytaliśmy w nrze 259 Gazety Polskiéj, wiadomość o tém nadesłaną przez piotrkowianina. Prawdziwie pocieszająca i budująca ta wiadomość!.. oby posłużyła innym, a wszystkim powiatom za przykład. Zdaje się, iż zbytecznem byłoby przekonywać o konieczném potrzebie w kraju naszym szerzenia nauki, wstrzemięźliwości i oszczędności. Są to pewniki, o których każdy doskonale wié, jeżeli zaś dotąd tak mało w tym kierunku robi się, to zaiste jest to dowodem, że prawdziwego dobra kraju nie pojmujemy, i mało o to dbamy.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 7 Grudnia 1862 r.